

Vancouver: przestrzeń, pamięć, płeć

Bożena Karwowska

Podróże

Bożena KARWOWSKA

Vancouver: przestrzeń, pamięć, płęć

Powojenni polscy wygnańcy stosunkowo często wybierali jako miejsce osiedlenia miasta Nowego Kontynentu, powstające i funkcjonujące na innych zasadach niż miasta, w których tradycji wyrastali. W odróżnieniu od Europy, wielkie miasta Ameryki Północnej opierają swoje istnienie na nowoczesności, na stałej przemianie, na tworzeniu się cały czas od nowa, na odrzucaniu historii jako elementu, na bazie którego buduje się nowoczesność¹. Uwaga ta jest szczególnie istotna jeśli chodzi o sytuację północnoamerykańskiego wybrzeża Pacyfiku, jest to bowiem teren o historii bardzo krótkiej, nawet w stosunku do historii Ameryki, czyli tak zwanego Nowego Świata. Nieprzypadkowo tu właśnie położone jest Los Angeles, miasto które stanowi paradygmat zarówno współczesnego miasta², jak i „the fortress city”³.

Pisząc o idei miasta i jego przestrzeni Michael de Certeau w swojej słynnej książce *Praktyki dnia codziennego*⁴ zaczął od opowieści o Nowym Jorku i jego drapaczach chmur. Z górnych pięter i tarasów widokowych można zobaczyć nie tylko niemal całe miasto, ale także to, co de Certeau nazwał koncepcją miasta. Widok z górnego piętra wieżowca zdecydowanie różni się od tego, co widzą stojący na ulicy przechodnie. Ludzie mieszkający na górnych, widokowych piętrach mają

¹ Por. *Theorizing the City. The New Urban Anthropology Reader*, ed. S.M. Low, Rutgers University Press, New Brunswick–London 1999.

² *Spaces of Culture, City-Nation-World*, ed. M. Featherstone, S. Lash, Sage Publications, London 1999, s. 3.

³ *Theorizing the City*, s. 10.

⁴ M. de Certeau *The Practice of Everyday Life*, trans. S. Rendall, University of California Press, Berkeley 1984.

często poczucie „posiadania” miasta. Panują nad zabudowaną przestrzenią, co odróżnia ich od przechodniów łatwo gubiących się na ulicach pomiędzy drapaczami chmur. Podział mieszkańców miasta dotyczy już nie tylko zamieszkiwanych przez nich dzielnic, ale nabrał charakteru trójwymiarowego i obejmuje także wysokość, na jakiej mieszkają i widok, jaki roztacza się przed ich oczami. Roger Kemble⁵, zwracający uwagę na auralne aspekty wielkich miast, dodałby tu z pewnością, że wysokość pozwala na ucieczkę od miejskiego hałasu.

W Vancouver, największym położonym nad Pacyfikiem kanadyjskim mieście, któremu poświęcone są niniejsze rozważania, nowi emigranci, podobnie jak najbiedniejsi mieszkańcy miasta, przeważnie zaczynają od mieszkania w suterenie. Ewa Hoffman wspominając w swojej książce *Zagubione w przekładzie* pierwsze dni w nowym miejscu osiedlenia pisze: „Przez pierwsze kilka dni zostajemy u państwa Rosenbergów, jesteśmy zesłani do suterenu, gdzie znajduje się dodatkowe mieszkanie zazwyczaj wynajmowane lokatorom” (EH, s. 102)⁶.

Zagrożenie trzęsieniami ziemi, a w zasadzie przekonanie, że Vancouver czeka bardzo silny wstrząs związany z położeniem w tak zwanej strefie sejsmicznej sprawiło, że stosunkowo długo panorama miasta, czy tak zwana miejska „linia nieba”, nie była imponująca. Kilka wysokich budynków w Downtown z pobliskimi terenami przemysłowymi związanymi z portami nieomal łączyło się z tym, co Hoffman nazywała wówczas (za względu na ich wygląd) przedmieściami, a które obecnie stanowią prestiżowe dzielnice mieszkalne w centrum, prawie całkowicie zabudowane drapaczami chmur. Na początku lat 60. kwartały mieszkalne, nawet te położone niedaleko od biurowo-handlowego centrum miasta, składały się z domów jednorodzinnych, a więc przestrzeń miejska, z którą zetknęła się Ewa Hoffman w Vancouver zdecydowanie różniła się od jej rodzinnego Krakowa. W liście do krakowskiej koleżanki Hoffman podkreślała wiejski (lub podmiejski) charakter miasta, ze zdumieniem zauważając „siedzę przy oknie wyglądającym na ogród, w którym rośnie czereśnia, jabłoń i krzaki kwitnących teraz róż. Róże są tu mniejsze i bardziej dzikie, ale wyobraź to sobie! To wszystko w środku miasta” (EH, s. 116). Pierwszy samodzielny (razem z siostrą) powrót ze szkoły do domu państwa Rosenbergów nie był dla obu dziewczynek łatwy, pomimo kartki z adresem, którą pokazywały spotkanym przechodniom prosząc o pomoc. „Błądzimy ulicami przez kilka godzin, chodząc zygakiem w tę i spowrotem przez identycznie wyglądające podmiejskie aleje” (EH, s. 105), zapisała w swoich wspomnieniach Hoffman.

Zanim jednak powstały „drapacze chmur”, posiadanie mieszkania z widokiem lub bez niego zależało od ukształtowania terenu. Znacznie bogatsi od Rosenbergów Stainerowie, którzy zajęli się rozwojem muzycznego talentu Ewy Hoffman, mieszkali w domu z widokiem, choć to przede wszystkim otaczająca go ogrodowa

⁵ R. Kemble *The Canadian City. St. John's to Victoria. A Critical Commentary*, Harvest House, Montreal 1989.

⁶ E. Hoffman *Lost in Translation*, Minerwa, London 1989. Cytaty z tego wydania przytaczam we własnym przekładzie i lokalizuję w tekście po skrócie „EH”.

roślinność zwróciła uwagę młodej emigrantki. Nic w tym dziwnego, skoro w tradycji, w której wyrosła, widok z okien domu na ulicę odróżniał tych, którzy mieli okna od frontu od pozostałych mieszkańców. „Dom państwa Stainerów, z którego roztacza się widok zarówno na zatokę, jak i na góry wybrzeża Vancouver, otoczony jest dużą przestrzenią podwórka i ogrodu” (EH, s. 110), pisze Hoffman.

Położenie geograficzne sprawia, że Vancouver, największe miasto zachodniej Kanady, jest oglądane z wielu miejsc równocześnie – jako konkretne miejsce i jako „koncepcja miasta”.

W opinii Vancouverkiej Izby Handlowej, często wspieranej przez obywateli, jest to drugie co do piękności miasto na świecie po Rio de Janeiro. Jest tak dlatego, że Vancouver również łączy zazwyczaj niełączące się ze sobą elementy oceanu i gór w obrazkowym przeciwstawieniu. Góry Skaliste, z ich charakterystycznymi urwiskami, kończą się tutaj i, kiedy patrzy się na nie pod odpowiednim kątem, wydają się wpadać dramatycznie wprost do wodnej przestrzeni” (EH, s. 134),

zanotowała Hoffman. Również opisana przez Denise Chong w poświęconej historii jej rodziny powieści *Dzieci konkubiny*⁷ May-ying, babka autorki, przyplłynąwszy z Chin do Vancouver statkiem w początkach XX wieku, zwróciła przede wszystkim uwagę na geograficzne położenie miasta zauważając, że „Góry i morze wydają się pomniejszać ludzkie wysiłki modelowania tej młodej miejskiej przestrzeni” (DCh, s. 11).

Vancouver znajduje się pomiędzy Górami Wybrzeżnymi (Coast Mountains) i Oceanem Spokojnym. Od środkowej, rolniczej Kanady oddziela je jeszcze pasmo Gór Skalistych. Wracając pamięcią do podróży pociągiem z Montrealu do Vancouver Ewa Hoffman pisze: „Te góry i wąwozy, te zwaliska gór i ogromne konstrukcje kaleczą moje oczy, kaleczą moją duszę. Są za duże, zbyt niechętne, nie mogę sobie wyobrazić uczucia, że jestem ich częścią, że jestem w nich” (EH, s. 100). Od wschodu, północy i zachodu rozwój miasta ogranicza położenie geograficzne, od południa – polityka i ręka ludzka. Miasta satelickie Wielkiego Vancouver rozciągają się bowiem nieomal do granicy ze Stanami Zjednoczonymi.

Biali osadnicy europejscy, Anglicy i Francuzi, posuwali się na Zachód od Wschodu. Ich granicą stały się wschodnie stoki Gór Skalistych, sceneria filmowych westernów. To obszary znajdujące się prawie półtora tysiąca kilometrów od Vancouver, oddzielone od niego dwoma pasmami gór, półpustynną krainą jezior i wielkimi, malowniczymi, choć momentami rwącymi i groźnymi rzekami Thompson i Fraser. Przyjeżdżając do Vancouver od wschodu, jak właściwie wszyscy Europejczycy, Hoffman wyraźnie pamięta zmianę w krajobrazie Kanady. „Pociąg przecina niekończące się połacie terenów, większość płaskich i monottonnych [...]. Kiedy dojeżdżamy do Gór Skalistych, rodzice starają się wyrwać mnie z otępienia i zmusić do oglądania spektakularnych krajobrazów, przez które przejeżdżamy” (EH, s. 100).

⁷ D. Chong *The Concubine's Children. Portrait of a Family Divided*, Penguin Books, Toronto 1995. Cytaty z tego wydania przytaczam we własnym przekładzie i lokalizuję w tekście po skrócie „DCh”.

Podróże

Granica naturalna, jaką stanowią Góry Skaliste, nie była więc dla osadników, przybywających tu przed budową kolei, łatwa do pokonania.

Vancouver, a właściwie tereny, na których później wybudowano miasto, odkryte zostały od zachodu, od strony oceanu⁸. Hiszpańskie statki wpłynęły blisko cypla, na którym znajduje się obecnie Uniwersytet Brytyjskiej Kolumbii, jeden z najpiękniejszych na świecie kampusów uniwersyteckich. Plaże i wybrzeże z tej strony cypla do dziś noszą nazwę Spanish Banks (hiszpańskie mielizny), ale miasto wzięło swoją nazwę od nazwiska angielskiego kapitana, który odkrył to miejsce w 1792 roku. Pochodził z rodziny holenderskiej, stąd Van na początku nazwiska. Miasto powstało jednak znacznie później, bo dopiero około 1860 roku w związku z gorączką złota. Oficjalnie zostało założone w 1886 roku. W swojej historii było najpierw ośrodkiem skupiającym tartaki, a potem portem, istotnym dla gospodarki w latach 20. XX wieku. Obecnie jest ośrodkiem turystycznym. Dla zapisanej już jedynie w nazwach pamięci o jego historii najistotniejszy okazał się bar, założony w okresie gorączki złota przez Jacka o przydomku „Gass”. Od jego nazwiska nazwana została historyczna część miasta Gastown, z parowym zegarem. Dziś to jedna ulica, niezbyt zresztą długa, z restauracjami, sklepami dla turystów, butikami i loftami dla artystów. Domy zachowały swoje stare fasady, za którymi wybudowano nowoczesne, „wewnętrzne” budynki. Powstał zupełnie nowy twór, będący pograniczem mozaiki i palimpsestu, na który składają się różnorodne style i kultury.

W przypadku Vancouver dodatkowego charakteru takiemu palimpsestowi dodaje spięcie równej siatki ponumerowanych ulic (miasta amerykańskie budowane są według planu przecinających się pod kątem prostym przecznicy), nałożonej na burzliwie uformowany geograficznie krajobraz gór Wybrzeżnych, wulkanu Baker (Piekarz), delty rzeki Fraser i oceanu Spokojnego z jego nadbrzeżnymi zatokami. Jedynie, co przypomina o historii i położeniu miejsca, to nazwy – Downtown wskazuje na położenie w Ameryce Północnej, gdzie wzorem Nowego Jorku nazwą tą określane były biznesowe centrum, śródmieście i część historyczna. Piękno miasta zawarte jest w jego anglojęzycznych nazwach: Fairview, Mountainview, Mount Pleasant. W nazewnictwie odbija się również geografia: w Lost Lagune, False Creek; historia miasta: Coal Harbour, Stanley Park; a także historia indiańska: Capilano, Tsawassen, Deadmen Island. Słowo wydaje się zwyciężać z architekturą, jeśli chodzi o przechowywanie pamięci, coraz częściej staje się jej jedynym przekazem i znakiem przeszłości.

Mieszkańcy Vancouver nie myślą o swoim mieście w kategoriach „swojego” miejsca, wielu z nich nie zna jego historii. Jej poznawaniu nie sprzyja zmienna architektura, a literatura związana z historią miasta zaczyna dopiero powstawać. W powieści biograficznej *Dzieci konkubiny* Denice Chong powracając do trudności, na jakie napotkała rekonstruując historię swojej rodziny, pisze:

⁸ Por. www.vancouverhistory.ca oraz <http://www.tourismvancouver.com/vancouver/about-vancouver/history/>

Karwowska Vancouver: przestrzeń, pamięć, płęć

Nie było łatwo odnaleźć ślady fizycznej obecności przednich pokoleń. [...] W Vancouver stałam w kiosku, gdzie Chan Sam kiedyś kupił bilet na podróż do Chin; usiadłam przy barze w BC. Royal Cafe, gdzie kiedyś pracowała May-ying; wspierałam się w górę ciemnymi schodami w hotelu dla biedaków, gdzie mieszkała moja matka. Ale zanim ucichło echo moich kroków, kiosk został zburzony, kawiarnia zamknięta, a hotele dla biedaków zagarnięte zostały przez awanturniczą kulturę narkomanów. (DCh, s. x-xi)

Pisarka mogła odtworzyć przeszłość jedynie dzięki niezapisanym, ale krążącym jeszcze opowieściom.

Sam charakter imigranckiej przeszłości i starego Chinatown – bieda, brak edukacji i klaustrofobiczna egzystencja bycia wykluczonym z większej białej społeczności – sprawił, że dziedzictwem stały się ustne opowieści. [...] To, co moja matka słyszała w opowieściach jej rodziców, uformowało pierwsze z jej dziecięcych wspomnień. (DCh, s. x)

Michael de Certau zauważa, że spacer mieszkańców po mieście może być porównany do aktu mowy (język porównuje on do umiejętności chodzenia), że aby zrozumieć współczesne miasto, trzeba przyjrzeć się szlakom jego mieszkańców. Jeśli wierzyć literackim opowieściom, to zawłaszczanie miejskiej przestrzeni odbywa się pieszo, poprzez spacer, zapuszczanie się w nieznanne jeszcze rejony miasta, powroty w te same miejsca przyciągające swoim nieoswojeniem. Dając poczucie wolności swobodne chodzenie po mieście było jednak przede wszystkim domeną mężczyzn⁹, dodajmy tu – białych mężczyzn. Jak zauważa Wilson, kobiety, „tak jak mniejszości, dzieci czy biedacy, nadal nie są w pełni obywatelkami w tym sensie, że nigdy nie otrzymały pełnego i swobodnego dostępu do ulic... ocalały i rozkwitły w szczelinach miasta, negocjując jego sprzeczności na swój własny, partykularny sposób...”¹⁰. Tak zresztą zostało opisane Vancouver, a właściwie jego przestrzeń społeczna, w powieści Jen Sookfong Lee *The End of East*¹¹, gdyż odwiedziły Pon Mana, jej chińskiego bohatera, w Vancouverskim Parku Stanleya budziły niechętnie zainteresowanie białych przechodniów, ale też negatywnie ocenione zostały przez mieszkańców Chinatown. Poczucie braku komfortu w przestrzeni miejskiego parku uniemożliwiło Pon Manowi przeżycia estetyczne. I choć nie sposób nie zauważyć (choćby teoretycznie) piękna tego miasta, spacerują po nim w znacznej części emigranci, którzy w jego przestrzeni czują się obco.

W przeważającej opinii ludzi jest to piękne miasto, zapierające dech. Ale moja dusza nie otwiera się na te piękne miejsca, które odrzucają mnie, ponieważ ja je odrzucam. Chcę moich krajobrazów w rozmiarach ludzkich i możliwych do penetracji; te góry wyglądają

⁹ M. Featherstone, S. Lash *Introduction*, w: *Spaces of Culture*, s. 3.

¹⁰ E. Wilson *The sphinx in the city. Urban life, the control of disorder, and women*, University of California Press, Berkeley 1991, s. 8.

¹¹ J.S. Lee *The End of East*, Alfred A. Knopf Canada, Toronto 2007. Cytaty z tego wydania przytaczam we własnym przekładzie i lokalizuję w tekście po skrócie „JSL”.

Podróże

dla mnie jak pocztówka, coś, na co raczej się patrzy niż wchodzi, i podczas wielu pochmurnych dni zamykają Vancouver jak ponure ściany (EH, s. 134),

pisze Hoffman. Swoje poruszanie się po mieście określa następująco:

Chodzę po tych ulicach nie widząc niczego jasno, jakby kurtyna spadła przed moimi oczami, kurtyna, która przyciemnia i zaciemnia wszystko w moim polu widzenia. Nie zauważam sygnałów, które mówią do mnie „miasto”: zmienne zagęszczenia, które przyciągają ludzi w kierunku wspólnego centrum ciężkości, warstwy ludzi, w odróżnieniu od warstw geologicznych. Puls życia wydaje się tu słaby, zanikający. Nieskupione rozbabranie miasta, jego niedawno rozpoczęte rozrastanie się domków jednorodzinnych, nie łączy się w żadną siatkę mentalnej wyobraźni, a tym samym patrzeć na to, co przede mną, jest wysiłkiem. (EH, s. 135)

Opierając narrację na własnym doświadczeniu, Hoffman opisuje chodzenie, a właściwie błędzenie po mieście jako wrażenie wzrokowe, porównuje je przy tym do innego doświadczenia zniekształcenia wizji, które spotkało ją podczas oglądania po raz pierwszy meczu piłki nożnej. Nie znając zasad gry nie umiała śledzić piłki i w rezultacie nie mogła jej nigdy uchwycić wzrokiem, zauważając przy tym, że można podążać wzrokiem za piłką tylko wtedy, kiedy ma się wcześniejsze wyobrażenie jej możliwej krzywej ruchu. „Nawet w te dni, kiedy słońce ujawnia się w pełnym blasku i powietrze ma specjalną przejrzystość północy, Vancouver jest przyćmionym światem w moich oczach, i chodzę po nim w statyczności wizualnego bezładu” (EH, s. 135), podkreśla Hoffman.

Szlaki mieszkańców Vancouver pokazują przede wszystkim, jak bardzo ludzie żyjący blisko siebie potrafią należeć do innych przestrzeni, że ich drogi mogą pozostawać zupełnie oddzielne, nie spotykać się i nie przecinać na co dzień. Miejsc wspólnych jest niewiele. Należą do nich szpitale, szkoły i uczelnie wyższe, ponadto też niektóre miejsca pracy, centra handlowe, parki. Wielokulturowość Vancouver nie opiera się na diasporach „współuczestniczących” w tym, co tworzy stała czy też podstawowa grupa narodowa, nienacechowani „odwieczni” mieszkańcy miasta, gdyż tacy po prostu nie istnieją. Mozaika ras i narodowości, ale też mozaika ludzi bogatych i biednych. Vancouver to miasto wielokrotnie uznane za najlepsze na świecie do życia, ale też znajdują się tu największe w Ameryce Północnej dzielnice nędzy. Nieprzypadkowo to właśnie miasta zachodniego wybrzeża stworzyły swoje własne określenie: *skid row*, przestrzeń ludzi wykluczonych i wykolejonych, uzależnionych od narkotyków lub chorych umysłowo. I nie chodzi tu o getta oddzielone przestrzennie od innych części miasta. Przeważnie granice między bogatymi i biednymi są bardzo, bardzo płynne, ale jednocześnie nieprzekraczalne. Wystarczy przejść na drugą stronę ulicy, aby zamiast w luksusowej dzielnicy znaleźć się obok hoteli dla biedaków. Mieszkańcy obu stron właściwie się nie widzą i nie przekraczają umownej granicy, jaką stanowi jezdnia. Tak właśnie pamięta wschodnią, uboższą część miasta bohater powieści *The End of East*, Pon Man, jako niemieszające się ze sobą Chinatown i dzielnice ubogich.

Pon Man rozmyśla, że nie są proste relacje pomiędzy Chińczykami i mieszkańcami hoteli dla biedaków. To tak, jakby się nigdy nie widzieli – a przecież muszą, bo zawsze są

Karwowska Vancouver: przestrzeń, pamięć, płęć

ostrożni, żeby utrzymać dystans. Mają ze sobą więc więcej wspólnego niż myślą. Celem każdego jest, oczywiście, aby uciec. (JSL, s. 202)

Obecnie w dawnych dzielnicach nędzy wyrastają wysokościowce zwrócone frontem do oceanu i odwrócone tyłem do historycznego już Chinatown i niewielu pozostałych po drugiej stronie jezdni hoteli dla biedaków. Nowe kompleksy często są strzeżone przez prywatne firmy i oddzielane od sąsiedztwa, co nadaje okolicy charakter „miasta-twierdzy”, którego wzorcem jest Los Angeles. Tutaj też, nie zawsze poprzez kompleksy mieszkalne, ale poprzez dzielnice miejskie czy podmiejskie części metropolii,

formowane są kontury, które nadają strukturę stosunkom społecznym, powodując, że wspólnoty genderowe, orientacji seksualnej, rasy, etniczności czy klasy przyjmują tożsamości przestrzenne. Grupy socjalne, z kolei, zostawiają swój fizyczny ślad na strukturze miejskiej poprzez formowanie społeczności [...] i segregację – innymi słowy poprzez grupowanie się, wnoszenie granic i tworzenie dystansu.¹²

O ile wyraźnie na planie miasta zaznaczają się przestrzenie związane z tożsamościami rasowymi czy etnicznymi, powstające przestrzenie genderowe ograniczają się w praktyce do społeczności homoseksualnych (lub gejowsko-lesbijskich). Heteroseksualne kobiety oraz dzieci – z powodów dość oczywistych – jakkolwiek stanowią mniejszości społeczne, nie budują swoich tożsamości przestrzenne. Stąd być może to właśnie wspomnienia kobiece i narracje powracające do wspomnień z dzieciństwa stanowią najistotniejszy zbiór tekstów literackich budujących siatkę pamięci o przestrzeni Vancouver, może to właśnie pisanie ofiarowuje im przestrzeń, w której odnajdują swoją tożsamość. Wyraźnie zresztą rysują się w ich narracji wspomniane przez Fainstein granice i dystans.

Znamienne jest też to, że we wspomnieniach Hoffman nie pojawiają się mieszkający w Vancouver przedstawiciele mniejszości społecznych. Brak w jej narracji choćby Indian i Chińczyków, tak jak brak mieszkających na ulicach ludzi uzależnionych i biednych. Brak ten jest tym bardziej widoczny, że dom, w którym mieszkała z rodzicami, znajduje się przy tej samej ulicy Main, która rozdziela światy opisane przez Pon Mana, tyle tylko, że w jej bardziej południowej części.

Nasze spacerki wiodą nas wzdłuż Main Street, ruderowatej, niskiej części miasta, która wygląda jak nie-miejsce, wrzucone tam przypadkowo, bez porządku i celu. Rozbabrane parkingi, kępki wąskich, drewnianych domów i dosłownie pozbawione nazwy parterowe cementowe budowle, wyglądające jak czysty przypadek, tak jakby miasto zamieniło się tutaj samo w śmietnisko. Ale są też tutaj wystawy sklepowe – które dopiero później uznaję za świadczące o sprawach biednej, złej-strony-miasta, którymi zresztą są, ale na razie hipnotyzują nas swoimi nieznanymi przedmiotami. (EH, s. 134)

Tak opisała, pozbawione w jej pamięci mieszkańców, okolice zamieszkiwane przez chińskich emigrantów i biedotę. Pozostając fizycznie w przestrzeni zajmowanej

¹² S.S. Fainstein *City Builders. Property, politics and planning in London and New York*, Blackwell, Oxford 1994, s. 1.

Podróże

przez „białego człowieka”, społecznie zamykając się w niewielkiej vancouverkiej grupie polskich Żydów, młoda imigrantka psychicznie izoluje się od obrazów Innego – innego od niej samej, czującej się jak Inny w stosunku do nieokreślonej, północnoamerykańskiej normy. Ludzie z „jej” kręgu, o których pisze niejednokrotnie, nie przyjmują tożsamości przestrzennej, wynajmują lub kupują domy w zależności od sytuacji majątkowej. O ich wspólnocie stanowi wspólnota kultury, którą rozumieją tradycyjnie, w znaczeniu, jakie nadał temu pojęciu Johann Gottfried von Herder, czyli jako homogeniczną, lingwistycznie zunifikowaną, autonomiczną „wyspę”¹³, zaś uczestnictwo w tej wspólnocie jest potwierdzane braniem udziału w obrzędach, przede wszystkim przyjęciach i spotkaniach towarzyskich. Fizyczna odległość i brak sąsiedzkiej wspólnoty nie pozwalały jednak na regulację społeczną według dawnych norm, co również zauważyła Hofman¹⁴.

Kanadyjczycy nieustannie się przenoszą, a imigranci tęsknią do swojej utraconej, dalekiej ojczyzny. Przecież w obecnym świecie to nie wojny i klęski żywiołowe stanowią główny motyw migracji, ale praca, która wyznacza miejsce człowieka na ziemi. Niektórzy imigrują całymi rodzinami, inni – jak w dawniejszych czasach Chińczycy – to tylko mężczyźni, którzy na emigracji zarabiali pieniądze dla rodziny w kraju. Współcześni mieszkańcy Kanady zmieniając pracę często przenoszą się do innego miasta. Szczególnie ci nastawieni na sukcesy zawodowe. Dzieci wyjeżdżają na studia i przeważnie nie wracają już do domu. Imigranci, którzy stanowią coraz większą część ludności wielkiego Vancouver, tęsknią do swoich ojczyzn i miast, traktując Vancouver tylko jako przystanek na drodze (do lepszego życia). Wielu z tych, którzy nie znaleźli swojego miejsca w tym mieście, z pewnością zgodziłoby się z obserwacją Ewy Hoffman: „Kiedy chodzę ulicami Vancouver, jestem ciężarna widokami Polski, ciężarna i chora. Tęsknota zakłada kliszę filmową na wszystko wokół mnie i kieruje mój wzrok do wewnątrz. Największą obecność we mnie ma rosnący brak, to co utraciłam” (EH, s. 115) Podobnie powraca do swoich pierwszych vancouverskich dni Pon Man: „Pamięta, jak marzył, żeby przyjechać do Kanady, żeby być z ojcem, i pamiętał, że jak tylko postawił nogę na kanadyjskiej ziemi i zobaczył cienki cień Seid Quana, natychmiast chciał wracać” (JSL, s. 203). Nawet po wielu latach odwiedzając to miasto Hoffman przede wszystkim pamięta towarzyszące jej poczucie straty i zagubienia, i nadal przysłania ono oglądane piękno.

Ocean uderza w skaliste wybrzeże białymi, gwałtownie rozsypanymi falami, na przemian ocienianymi przez chmury i oświetlanymi przez słońce. Oddycham w tym samotniczym pięknie głęboko i pamiętam, jak wiele lat temu siedziałam tutaj w chmurze nieszczęścia i niewiedzy, i czułam tylko terror tej scenarii i jej pustkę. (EH, s. 151)

Opowieść o tym mieście jest w znacznym stopniu narracją emigracyjną, stąd być może zawarty w niej smutek i fragmentaryczność, w tle której pobrzmiwają słowa

¹³ M. Featherstone, S. Lash *Introduction*, s. 10.

¹⁴ Por. B. Karwowska *Oswajanie samotności. Kobięcy dyskurs migracyjny „drugiego świata” w kobiecej perspektywie*, „Przegląd Humanistyczny” 2008 nr 5, s. 119-132.

Ewy Hoffman: „Vancouver nigdy nie będzie miejscem, które najbardziej Kocham, bo tu właśnie wypadłam z siatki znaczeń w lekkość chaosu” (EH, s. 151).

Vancouver nie jest jednak miastem bez historii, a właściwie można powiedzieć, że ma tyle historii, ile żyje w nim grup etnicznych. Opowiadając historię miasta zaczniemy od tradycyjnie już dominującej kultury białego człowieka i jego optyki. Grupą narodowościową, która przez wiele dziesięcioleci nadawała ton wyższym klasom społecznym, byli Anglicy. Pierwszą stolicą prowincji było – wchodzące dziś w granice tak zwanego Wielkiego Vancouver – New Westminster, potem zaś położona na wyspie Vancouver Victoria. Pozostało po tej „angielskiej” dominacji wiele nazw, jak choćby English Bay, główna zatoka Pacyfiku, nad brzegami której rozciągają się miejskie plaże, czy miasto satelickie Surrey (wymawiane inaczej niż angielskie hrabstwo Surrey).

Niedawno minęła 150. rocznica podpisania traktatu, na mocy którego Fort Langley (obecnie część Wielkiego Vancouver) stał się oficjalnie kolonią brytyjską. Pierwszym białym człowiekiem, który postawił nogę na terytorium obecnego Vancouver był Simon Frazer, poszukiwacz pracujący dla firmy handlowej, która połączyła się dość szybko z „The Hudson Bay Company”. „The Bay” to obecnie sieć wielkich domów towarowych, ale kiedyś była to ogromna firma handlowa skupująca towar (czyli futra) od traperów i stanowiąca swojego rodzaju odpowiednik rządu – dzięki rozległej strukturze administracyjnej. Firma ta właściwie zjednoczyła całe terytorium, na którym znajduje się teraz Kanada. W opowieści Hoffman dom towarowy „The Bay” spełniał w latach 60. istotną rolę w przemianie emigrantów w Kanadyjczyków.

Obfitość rzeczy w Hudson’s Bay – vancouverkiej mekce zakupowej – budzi we mnie żądzę i wstręt, które są symultaniczne i współzależne od siebie: może to jest właśnie stan, który nazywano pożądaniem, albo bardziej ogólnie, grzechem. Och, mieć pieniądze, żeby kupić te skórzane torebki, te bluzki z rayonu, te słodkawe perfumy! Marnujemy całe godziny na mierzeniu sukienek w złych rozmiarach, żeby tylko zobaczyć jak wyglądają. Kiedy coś jest przecenione, jesteśmy podekscytowane: być może nas na to stać. Ale stać nas rzadko. Mimo to dotykamy i patrzymy, starając się rozróżnić prawdziwą i sztuczną skórę, sztuczną biżuterię od srebrnej. Ale przedmioty zagrażają mi – mogą zmiażdżyć mnie swoją przedmiotowością, swoim bezorganowym rozmnażaniem się, swoją bezznaczeniowością. Dostaję w Hudson’s Bay bólu głowy; wychodzę błada i wyczerpana. (EH, s.136)

Dla młodej Ewy Hoffman jest więc The Hudson’s Bay miejscem inicjacji w kulturę opartą na niezaspokajalnej żądzy posiadania przedmiotów, która napędza społeczeństwa rozwijające się i przy braku tradycji obcowania z kulturą stanowi jej wariant zastępczy – zakupy i wycieczki do domów towarowych zastępują (również nieobecne w opowieści nowej emigrantki) wyjścia do teatru, na koncerty czy wystawy.

Drugą organizacją jednoczącą Kanadę były koleje państwowe, obiecane jeszcze w XIX wieku Brytyjskiej Kolumbii przez premiera McDonalda. Dzięki tej obietnicy BC przystąpiło do unii sześciu prowincji i stało się częścią Kanady. Obecnie wycieczki pociągami, szczególnie przez Góry Skaliste, to atrakcja turystyczna, ale jeszcze stosunkowo niedawno była to powszechna forma podróżowania. To właśnie pociąg-

Podróże

giem przyjechała do Vancouver z Montrealu rodzina Wydrów, z córką Ewą, której opisy Vancouver pojawiają się w niniejszej refleksji wielokrotnie. I choć dworzec znajduje się nadal w tym samym miejscu co w latach 60., na terenach kolejowych, a właściwie bocznic kolejowych w pobliżu portu Coal Harbour (Wybrzeże Węglowe), stosunkowo niedawno powstały kompleksy wieżowców, jedne z najdroższych w mieście. Stanowią jakby naturalne rozszerzenie dawnego śródmieścia, Downtown, które dla Ewy Hoffman było tak naprawdę jedyną przestrzenią zasługującą na miano miasta, wszystko poza nim to w jej opisie tylko przedmieścia. Zanim jednak Vancouver rozrosło się do obecnych rozmiarów jednego z największych miast wybrzeża Pacyfiku, Polska emigrantka opisała je w następujący sposób:

[...] Vancouver *circa* 1960 jest surowym miastem, niewiele starszym niż wiek, z aromatem placówki nadal do niego przylegającym. Śródmieście składa się z grup niskich budynków, z kilkoma neonowymi wystawami świecącymi w ciągu dnia, od których boli mnie głowa, bo jestem zupełnie do nich nieprzyzwyczajona. Jest niewiele ludzi w części handlowej, i jeszcze mniej w niekończącej się siatce mieszkalnych ulic przecinających się w niesamowitej ciszy. (EH, s. 134)

May-ying, bohaterka *Dzieci konkubiny*, jadąc do Chinatown z portu przez miasto taksówką, zauważyła:

Taksówka objechała finansową część miasta. Jego wysokie kamienne budynki i rytmiczny przepływ tramwajów mówił o uporządkowanym spokoju. Po drugiej stronie linii tramwajowej biegnącej pomiędzy New Westminster i Vancouver, zachodnia architektura nagle ustąpiła gęstej konglomeracji jedno- i dwupiętrowych ceglanych budynków ozdobionych różnorodnymi markizami. Dwie niewielkie gospodarze uliczki za Pender, Zaułki Canton i Shanghai, oba prywatnie zagospodarowane, były zatłoczone wysokimi, cienkimi ruderami z mieszkaniami do wynajęcia, tuzinami biznesów, sklepów, restauracji, nawet łaźnią publiczną i małym teatrem operowym. (DCh, s. 26)

Trudno byłoby opowiedzieć historię Vancouver jako historię zamieszkujących tu jeszcze przed przybyciem kolonizatorów Indian, a właściwie ich różnych szczepów należących do rodziny wybrzeżnych Salish (Costal Salish), Haida, Masquam. Wiemy, że żywili się ostrygami, bo pozostały po nich śmietniska – plaże zrobione z potłuczonych drobno białych muszli. Musieli więc przebywać tam długo i zapewne było ich dużo. Handel z białymi ludźmi i budowane przez nich miasta zburzyły tradycyjną kulturę Indian. Nie z użyciem broni, jak w amerykańskim westernie, ale właśnie poprzez wpływy handlowe i kulturowe oraz marginalizację ekonomiczną, plemiona indiańskie zostały usunięte ze swoich terytoriów. Indianie, którzy obecnie nie płacą podatków kanadyjskich i mają bezpłatne studia, mieszkają w rezerwatach. W Vancouver posiadają tereny, na których mają swoje osiedla. Na wydzierżawionych od Indian terenach zbudowane jest jedno z największych centrów handlowych na West Vancouver. Zdawać by się mogło, że powinni żyć dostatnio, a jednak... Stosunki indiańsko-kanadyjskie to krwawiąca rana. Widać to wyraźnie w Vancouver: z jednej strony Kanadyjczycy chwalać się sztuką „pierwszego narodu”, polami totemowymi, wiszącymi

mostami, a z drugiej – większość Indian żyje w dzielnicach nędzy, graniczących z historycznym już Chinatown.

W latach 80. około 30 procent mieszkańców Vancouver należało do tzw. widocznych mniejszości. Obecnie najwidoczniejszą grupą etniczną są Azjaci. Wpływ na to miała emigracja z Indii (szczególnie osiedlanie się Sikhów, dla których wielkie Vancouver jest po prowincji Punjab drugim pod względem wielkości skupiskiem), kolejne fale imigrantów chińskich (Taiwan, Hong Kong i Chiny Ludowe) oraz przybyszów z innych krajów, takich jak: Filipiny, Korea czy Wietnam. Historię Vancouver można też opowiedzieć jako historię najliczniejszej tu chyba „widocznej mniejszości”, czyli Chińczyków. Zacząć trzeba od tak zwanego „historycznego” Chinatown. W odróżnieniu od widokowych i dogodnych pod wieloma względami terenów zajmowanych przez białych, Chinatown położone jest w pobliżu terenów pokrytych odpływowym błotem, osuszonym dopiero stosunkowo niedawno, w związku z rozrastającym się rynkiem mieszkaniowym w Vancouver. „Odpływowe wody False Creek pozostawiły błotnisty muł wzdłuż tych wybrzeży, które odstraszyły wszystkich osadników poza Chińczykami” (DCh, s. 27), pisze Denise Chong.

Chińczycy przyjechali do Brytyjskiej Kolumbii w związku z budową kolei. Na wschodzie Kanady budowali ją emigranci z Irlandii (po polsku nazwani ajriszami), a na zachodzie – robotnicy sprowadzeni z Chin. Chong pisze, że choć przepisy prawa ograniczały możliwości emigracji chińskiej,

niechęć do chińskiej obecności nie odstraszała białych dostawców szukających taniej siły roboczej do wycięcia trasy transkontynentalnej linii kolejowej przez USA i Kanadę. Rządy zaakceptowały ich twierdzenie, że Chińczycy będą pracować za dużo mniej i są bardziej odpowiedzialnymi pracownikami niż dostępni biali robotnicy, głównie Irlandczycy. Choć wielu Chińczyków, których wysyłało do najbardziej niebezpiecznych prac, zginęła w czasie budowy kolei, rasistowskie resentymenty posuwały się wzdłuż nowo budowanych torów linii kolejowej. (DCh, s. 14)

Ale historia, którą warto przywołać w związku z Vancouver, to opowieść chińskiej kobiety, babki Chong, zupełnie niepodobna do niczego, co mogłoby być narracją Europejki. Dość charakterystyczne jest to, że opowieść znana jest dzięki wnuczce¹⁵, Denise Chong, autorce książki *Dzieci konkubiny*. Jest to historia młodej chińskiej dziewczyny, która przyjechała do miasta jako konkubina Chan Sama, który wyjechał z rodzinnej wsi, aby zarobić na kupno ziemi. Działo się to w początkach XX wieku, kiedy emigracja Chińczyków do USA była praktycznie niemożliwa, łatwiej było uzyskać prawo wjazdu do Kanady. Choć sytuacja ekonomiczna Vancouver nie była najlepsza,

prawie zawsze była praca dla Chińczyków, albo w Chinatown, albo poza nim: podrzędne, najgorzej płatne albo najniebezpieczniejsze prace w hali tartaku, kopalni lub na farmie.

¹⁵ Por. B. Karwowska *Współczesna kobieta e/imigracyjna opowieść. Na przykładzie „Koniecznych Kłamstw” Ewy Stachniak*, „Ruch Literacki” 2006 nr 6, s. 627-639.

Podróże

Oczywiście biali właściciele tartaków wzdłuż rzeki Fraser, przetwórci ryb w Zatoce Burrard oraz ogrodniczych i świńskich farm na pograniczu Vancouver zauważyli korzyści z przyjmowania do pracy chińskich brygadystów znajdujących tanią chińską siłę roboczą. Jaką pracę mężczyzna znajdował, zależało wyłącznie od jego znajomości i tego, jak dużo pieniędzy mógł puścić w obieg. W Chinatown praca była zarówno zarobionym przywilejem, jak i wyświadczoną przysługą. Poza Chinatown, mężczyzna nie osiągnął nic bez „wpisowego” dla chińskiego brygadysty. (DCh, s. 21)

Pomimo ciężkiej pracy w ciągu 11-godzinnego dnia pracy, zarobki Chińczyków były niższe niż innych pracowników, choć nieporównywalnie wyższe od tego, ile mogli zarobić w Chinach.

Chińczycy, wdzięczni, że w ogóle mają pracę, nie narzekali. W Tartaku, gdzie pracował Chan Sam, Chińczycy byli trzeci w skali zarobków po białych i Hindusach, zarabiając tylko część ich płacy. Musieli płacić za mieszkanie i wyżywienie, a inni nie. Ich hotele robotnicze były odseparowane od hoteli białych, i mieli przeżyć jedząc tylko soloną rybę, zupę i ryż, (DCh, s. 22)

dodaje Chong.

Sytuacja ekonomiczno-kulturowa sprawiła, że chińska społeczność w Vancouver składała się w większości z mężczyzn, którzy co kilka lat jeździli w odwiedzinach do swoich żon, przede wszystkim w celu zapewnienia rodzinie potomstwa. Segregacja rasowa, usankcjonowana kulturą i prawem, nie sprzyjała w tamtych czasach częstym obecnie związkom mieszanym. Opisując pierwsze lata pobytu dziadka w Vancouver, Chong zauważa, że

stosunek mężczyzn do kobiet spadł z 25 do 1 do 10 do 1 w ciągu dekady od jego przyjazdu. Ale na ulicach proporcja była zdecydowanie większa. „Porządne” kobiety – żony kupców – rzadko wychodziły poza ściany domu rodzinnego. Robotnik, z drugiej strony drabiny społecznej niż kupiec, swoim domem nazywał hotel dla biedaków i rzadko nawet oglądał kobietę lub dziewczynę, chyba że bratał się z prostytutkami z pobliskiej dzielnicy biedaków i narkomanów (*skid row*) lub odwiedzał herbaciarnie, z których wszystkie zatrudniały kelnerki. (DCh, s. 22)

Niektórzy mężczyźni z tej diaspory sprowadzali do Kanady konkubiny, aby nie tylko prowadziły im gospodarstwa, lecz także rodziły dzieci (odwożone później do Chin jako własność pierwszej żony) i pomagały zarabiać pieniądze na dom i rodzinę pozostawioną w Chinach. Denis Chong pisze:

Prośba o konkubinę nie była nieznaną pośród żonatych mężczyzn przebywających za granicą. Żona na wsi, wybrana przez rodziców, była „Żoną-w-domu”. Konkubina, przysłana z Chin, dołączała do mężczyzny za granicą i oboje żyli razem w obcym kraju jak mąż i żona. Ci, którzy chcieli żyć zgodnie z zachodnimi obyczajami, uprawomocniali to aktem ślubu, ale tylko niewielu widziało taką konieczność, bo według pojmowania rodziny mężczyzna zawsze pozostawał lojalny przede wszystkim w stosunku do „Żony-w-domu”. (DCh, s. 25)

W tamtych czasach, czyli pierwszych dziesięcioleciach XX wieku, Chińczycy, którzy przyjeżdżali do Kanady, obłożeni byli specjalnym podatkiem, imigracja była dodatkowo ograniczana administracyjnie w związku z kryzysem, a cena fał-

Karwowska Vancouver: przestrzeń, pamięć, płęć

szywych dokumentów i opłata za podróż statkiem były bardzo wysokie. W pierwszej kolejności kobieta musiała więc zarobić na zwrot opłat, które wniósł mąż. Chińczycy mieszkali właściwie tylko na terenie, który obecnie nazywa się historycznie Chinatown. Natychmiast po przyjeździe kobiety szły do pracy, przede wszystkim jako kelnerki do restauracji. Wiele z takich emigrantek dość szybko staczało się na margines życia: zaczynały zarabiać handlując własnym ciałem, zażywały narkotyków, prowadziły domy gier i hazardu. Ich los Denise Chong opisała w związku z realiami, w jakich żyła jej babka, May-ying, która do Vancouver przyjechała jako

jedna z kobiet, które były przywiezione do Ameryki wyłącznie ze względu na profit z ich pracy. Były wśród nich rekrutki młodsze niż May-ying; Shortie Lan skończyła 13 lat na statku. Uświadomiły sobie rzeczywistość swojego nowego życia dzięki wyznaniom i plotkom kobiet z ich kręgu. Słyszało się też o buncie przeciwko mężom czy mężczyznom, którzy je tu przywieźli, i o ucieczkach. Niektóre wspominały o innych kelnerkach, które kiedyś były w tym samym kręgu, które porzuciły jednego mężczyznę dla innego. Ciężce były na porządku dziennym, najczęściej te niechciane. Niektóre kelnerki miały kilkoro dzieci z różnych ojców. (DCh, s. 32)

Warunki, w jakich pracowały, były ciężkie, dochodził do tego brak szacunku dla kobiet i brak przepisów dających im ochronę prawną. W wielu aspektach obserwacje Ewy Hoffman na temat traktowania kobiet z polsko-żydowskiej diaspory w Vancouver podobne są do opisu Denise Chong, choć podstawową różnicą było pozostawanie białych kobiet w domu świadczące o dostatku rodziny w odróżnieniu od zysku, jaki Chińczycy czerpali z pracy swoich konkubin.

Były dni, kiedy kelnerki przychodziły do pracy z wyjątkowo grubą warstwą pudru na twarzy. Zmywany przed nałożeniem świeżej warstwy, odkrywał siniaki gniewu ich mężczyzn. Niezależnie od tego, że kelnerka nie lubiła swojej pracy czy trybu życia z nią związanego, mężczyzna, do którego należała, zbyt mocno kochał pieniądze. Kelnerka dostawała miesięcznie zaliczkę w wysokości około 25 dolarów tygodniowo. Zarobek robotnika, dla porównania, wynosił nie więcej niż 15 dolarów, a czasem tylko 8. Pierwszego dnia każdego miesiąca niektórzy mężczyźni przychodzili do herbaciarni osobiście, aby odebrać zarobek swoich kelnerek, nie wierząc, że kobiety oddałyby im go w całości. Zostawiali swoim kelnerkom napiwki, które często były jedynymi pieniędzmi na wychowanie dzieci. (DCh, s. 33)

Babka Denise Chong, której zarobki zatrzymywał właściciel herbaciarni jako spłatę długu za jej przyjazd do Kanady, oddawała swoje napiwki mężowi, który z kolei wysyłał je żonie do Chin. Również jej córki zostały odesłane do Chin i tylko najmłodsza, matka autorki cytowanej opowieści, dzięki zakrętom losu i historii pozostała w Kanadzie. To przede wszystkim wojny sprawiły, że część chińskich dzieci pozostała w Kanadzie. Niektóre zdobyły wykształcenie, stały się Kanadyjkami, których z Chinami i chińską kulturą niewiele – poza przynależnością rasową – łączyło. Ich dzieci i wnuki piszą teraz o przeszłości rodziny tworząc narrację przypominającą o realiach niknącego świata dawnego Chinatown. Co ciekawe i charakterystyczne, powrót do wspomnień rodzinnych to domena pisarstwa

kobiet, które w swojej twórczości odkrywają traumę poprzednich pokoleń; raz jeszcze wśród tych narracji przeważają teksty, w których trzecie pokolenie powraca do świata swoich dziadków¹⁶.

Do późnych lat 80. Kanadyjczycy pochodzenia chińskiego nie byli obecni w kręgach politycznych, a sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero w związku z przejęciem Hong Kongu przez Chiny Ludowe i masową emigracją ludności Hong Kongu do Kanady, a szczególnie do Vancouver. We wstępie do swojej rodzinnej opowieści Denise Chong, pisząc o historycznym już Chinatown, dodała uwagę, o „kontynuacji upadku w czasie gdy nowa fala azjatyckich imigrantów, tych którzy mają wystarczającą ilość pieniędzy by uciec z Hong-Kongu zanim stanie się on częścią Chin w 1997 roku, omija stary Chinatown, wybierając zapuszczenie korzeni w rozkwitających suburbiach” (DCh, s. xi). W mieście coraz wyraźniej zachodzą procesy opisane na przykładzie amerykańskiego Miami, miasta etnicznego, któremu ton nadają kubańscy imigranci¹⁷. Tak jak w Miami *lingua franca* to język hiszpański, tak w Vancouver dwujęzyczność nie wynika z obecności oficjalnego w Kanadzie języka francuskiego, ale z powszechnego używania języków Chin – mandaryńskiego i kantońskiego. Obecnie Richmond, miasto satelickie, część Wielkiego Vancouver, w większości zamieszkuje ludność azjatycka, potomkowie kultury chińskiej, którzy jednocześnie dość wyraźnie różnią się między sobą. Tradycyjne kultury Chin ukształtowały ludzi świadomych swojej wartości, grzecznych, liczących się z innymi. Chiny ludowe to źródło imigrantów, którzy wychowani zostali przez rządy komunistyczne. I tak na przykład Chińczycy z Chin Ludowych sprowadzili do Kanady rodziców, których często traktują źle, trzymają jako bezpłatną opiekę do dzieci, nie dają im żadnych pieniędzy – stąd rano w Richmond na śmietnikach widać starych Chińczyków szukających puszek, butelek i czegokolwiek nadającego się do sprzedaży...

Społeczność Vancouver to żywy dowód na trudności, jakie badacze postkolonialni podkreślają w związku z terminologią wielokulturowości i interkulturowości, które zakładają brak centrum, ale również stałe istnienie mniejszości, a tym samym ciągle marginalizowanie. Być może odpowiedzią na te terminologiczne kłopoty jest tworząca się dzięki uczestnictwu we wspólnej społecznej przestrzeni „hybrydyzacja” tradycji. Chińczycy posługują się na przykład pojęciem „banana” – którym określają ludzi „z wierzchu żółtych, w środku białych”. We współczesnym Vancouver hybrydyzacja jest pojęciem, które łatwo zrozumieć patrząc na ludzi z sąsiedztwa. O tym zetknięciu się światów pisze również Ewa Hoffman: „Myślę, że rozumiem to ogólnoamerykańskie zwątpienie nakazujące neofitom monotonnie powtarzać mantry w aszramach od San Francisco do Upper West Side Manhattanu. Ewangelia oderwania się tak samo dobrze odpowiada kulturze nadmiaru, jak i społeczeństwu całkowitej nędzy” (EH, s. 138). W Vancouver jest tyle różnych

¹⁶ Tamże.

¹⁷ A. Portes, A. Stepick *City on the Edge. The transformation of Miami*, University of California Press, Berkeley 1993.

religii, że szkoły wyznaniowe – dla bezpieczeństwa uczniów – zgrupowane są na jednej ulicy, którą mieszkańcy miasta nazywają nieco złośliwie autostradą do nieba. Inną grupą religijną w Vancouver są Sikhowie. Historia Vancouver związana jest bowiem z różnymi grupami religijnymi z Indii. Sikhowie przyjechali tu na początku wieku jako poddani brytyjscy (przez Hong Kong) i dość szybko zostali pozbawieni prawa głosowania i osiedlania się w BC, gdyż wprowadzono prawo, na mocy którego rezydentami Brytyjskiej Kolumbii zostawali automatycznie tylko ci poddani brytyjscy, których rodzice byli pochodzenia anglo-saksońskiego. Gdy w 1907 roku przyłynęło do Vancouver 900 Sikhów, w mieście wybuchły antyrasowe zamieszki i demonstracje. Dwa lata później próbowano wprowadzić prawo, na mocy którego wszyscy Sikhowie mieli być deportowani z BC do Brytyjskiego Hondurasu (Belize), a także ustanowiono prawa znacznie ograniczające imigrację z Indii do Kanady. Co ciekawe, aby powstrzymać imigrację Sikhów, przede wszystkim zabroniono przyjazdu do Brytyjskiej Kolumbii kobietom, co oczywiście uniemożliwiało zakładanie tu rodzin, a tym samym osiadanie na stałe. W 1911 roku w Vancouver było mniej niż 2500 Sikhów (w tym tylko 3 kobiety), o połowę mniej niż 3 lata wcześniej, a w 1918 było ich już tylko 700. W 1920 roku zmieniono jednak prawo uniemożliwiające przyjazd kobiet i Sikhowie mogli zacząć sprowadzać do Kanady żony i nieletnie dzieci. O przybyszach z Indii mówi się zresztą obecnie przeważnie *Indo-Canadian*, głównie w celu uniknięcia pytania o ich przynależność religijną. Są tu bowiem również choćby wyznawcy hinduizmu (też pochodzący z Indii), a także przybyli z Indii ludzie, którzy nie określają się wyznaniowo. Jest to także społeczność szczególnie znana z dużej ilości gangów przestępczych. Większość domów w dzielnicy „indyjskiej” jest dobrze strzeżona, dość często na ulicach odbywają się strzelaniny. Vancouver to miasto portowe, a to oznacza przemysł i handel narkotykami. Wojny gangów to dla mieszkańców miasta nie teoria, ale codzienność. Dodajmy do tego, że wielokulturowość i tolerancja wiążą się z ideologią i kulturą klasy średniej, ubogie środowiska „kolorowych” imigrantów łąwiej wpisują się w schematy „miasta fortecy”, w którym poszczególne grupy walczą o przywileje i terytorium wpływów¹⁸.

Istnieje też historia polskiego Vancouver, ale również Vancouver wietnamskiego, filipińskiego, niemieckiego, szwedzkiego, japońskiego i wielu, wielu innych... Tylko, czy składają się one na historię wspólną, czy są tylko powtarzalnymi i podobnymi wariantami obserwacji Ewy Hoffman na temat diaspory narodowo-wyznaniowej, w której znalazła się w Vancouver? Opis party w jednym z polsko-żydowskich domów stanowi dla niej okazję do ogólniejszych obserwacji:

To taka imitacja kanadyjskiej rozmowy – uprzejma, ograniczona, dobrotliwa. To także rozmowa bez kontekstu. Choć ta niewielka grupa uprawia najszczerzej próby asymilacji, z trudnością można by powiedzieć, że weszli w sieć kanadyjskiego życia. Każdy z nich powiedziałby, że kocha swoją adoptowaną ojczyznę; poradzili sobie tu, w końcu mają

¹⁸ Por. P. Bhikhu *Rethinking Multiculturalism. Cultural Diversity and Political Theory*, Macmillan Press, London 2000.

Podróże

więcej bogactwa i spokoju tutaj, niż mogli to sobie wymarzyć w Polsce. Ale ich miłość jest dziwnie izolacyjna: nie są zainteresowani kanadyjską polityką czy lokalną kulturą, czy choćby swoimi sąsiadami, z którymi, jak chętnie mówią, nie mają nic wspólnego. (EH, s. 141)

Owa izolacja jest, zdaniem Hoffman, szczególnie niezrozumiała w przypadku kobiet, które nie pracują zawodowo, i choć spędzają większość czasu w domu, nie mają ochoty na nawiązywanie kontaktów z sąsiadkami. Dodajmy tu, że wiele z grup narodowych nie skupia się w tych samych dzielnicach – w Vancouver nie istnieje choćby dzielnica polska. Pomimo licznych różnic dostrzec można wiele podobieństw w sytuacji kobiet z różnych kultur. Być może dlatego przywołane tu narracje powieściowe wyraźnie pokazują, że emigracja mężczyzn nie jest bardzo zróżnicowana; to ze zróżnicowania polityki w stosunku do imigracji kobiet wynikają najistotniejsze różnice w opowiedzianych tu historiach. Mężczyźni, przyjeżdżając do Vancouver, wchodzą w przestrzeń publiczną, wspólną, nawet jeśli podlega ona segregacji etnicznej czy klasowej. Kobiety budujące przestrzeń domową i prywatną stały się więc głównym celem polityki emigracji.

Miasto, ze swoją nieznaną jego mieszkańcom i sfragmentaryzowaną narodościowo historią, nie jednocy, nie ma jeszcze tożsamościotwórczych zdolności Nowego Jorku (zwłaszcza jego artystycznych grup) czy Chicago (z jego kulturą czarnych Amerykanów). Kultura i literatura polska szukała rozwiązania podobnych (choć również innych) dylematów poprzez skoncentrowanie się na narracjach lokalnych, tak zwanych Małych Ojczyznach. Współczesne Vancouver takiej możliwości nie daje. Brak w nim narracji wspólnej, podszytej warstwami palimpsestowymi, do których odwołać się mogą wszyscy. Koncepcja miasta bez historii, z jego ciągłym wymyślaniem i tworzeniem się na nowo, nie wytworzyła póki co kultury, która by taką narrację umożliwiała. Być może jednak jej załączki powstają właśnie w szczelinach, w miejskiej opowieści społecznych mniejszości, przede wszystkim imigrantek budujących w swoich narracjach opartych na pamięci siatkę znaczeń, która taką wspólnotę umożliwi.

Karowska Vancouver: przestrzeń, pamięć, płęć

Abstract

Bożena KARWOWSKA
University of British Columbia (Vancouver)

Vancouver as seen by its immigrants: space, memory and gender

The article provides a description of an urban space of this relatively young North-American city, based on literary works by immigrant women connected with Vancouver. While the constantly changing city does not provide a suitable space for "places of memory", functions related to memory and history have been transferred to language in its various functions, including names of places and literary works. The critical description includes a reflection on roles of women and their positioning in the city, especially in view of their contribution to the multicultural literature tied to Vancouver and the memory of its inhabitants.